

mu radością i spojrział z tryumfem na kasę bankiera.

— Macaj teraz — rzekł Wilus — a ja będę odpoczywał, bo już kości nie czuję.

Mulat zanurzył rękę w otwory i wyciągnął kilka worków z pieniędzmi. Były tam pieniądze w złocie, moneta srebrna i zdawkowa Łup nie wielki, bo może zaledwie kilka tysięcy marek. W lot podzielili się zdobyczą, odpoczęli i znowu sięgnął mulat do kasy. Tym razem dobył ogromny pugilares. Otwierają, patrzą. Banknoty po tysiąc marek i drobniejsze. Liczą. Wyliczyli około dwudziestu tysięcy. I znowu lotem łup podzielili. Mulat sięgnął po raz trzeci, ale nigdzie nie mógł napotkać pieniędzy. Krzywi się, gniewa.

— Co u licha? dla marnych dwudziestu kilku tysięcy tyle pracy! — szepta do Wilusia. Wiem przecież, że ta amerykańska hyena chowa do podręcznej kasy niekiedy całe miliony. Cóżby to znać? Chciał nam zrobić na złość, czy co? A bodaj go piorun trząś! Macaj Wilus.

Ślusarz obnażył ramię żylaste i wsunął rękę w głąb kasy. Macał na wszystkie strony, aż dotknął jakiejś kasety. Objął ją szeroką dłonią i wysunął. Była to kaseta ciężka, sztucznie zamykana. Nie było na niej widać żadnego zamku, żadnych zawiasów; wyglądała jak kawał polakierowanego żelaza.

— Ej, ej — rzekł mulat — to będzie dobra pieczeń.

— Głupiś! Cóż tam może być? nic innego, tylko jakieś jubilerskie figle. To nie warte funta kłaków. U jublera nie sprzedasz, bo niebezpiecznie; łatwo dostać się do ula. U przyjaciela dostaniesz za takie cacko tyle, co na kieliszek wódki.

Ale mulat nie dał się przekonać i oglądał ciekawie ciężką, żelazną kasę. Potrząsał nią i słuchał, czy w środku co nie brzęczy. Uczuł, że coś tam było ciężkiego, co kołatało przy potrząsaniu.

— Ej, żeby ją tu rozbić.

— A to rozbijaj, gdy ci się zachciało. Ja już ruszać się nie mogę.

— Ba! żebym ja to był takim mistrzem, jak ty!...

— Idźże do stu dyabłów i daj mi spokój. Weź sobie to pudło na cztery wiatry. Po co tu się męczyć i czas tracić, rozbijemy to cacko jutro w budzie, a tymczasem jazda stąd.

Tą samą drogą, którą tu przyszli, powrócili do piwnicy i tam noc spędzili, a rano w poniedziałek udało im się wymknąć, po otwarciu bramy, równie szczęśliwie, jak tu w sobotę się dostali.

\* \* \*

W poniedziałek wszedł Snovard do biura wcześniej niż zwykle, jakby chciał wynagrodzić zaniedbanie, którego dopuścić się musiał w sobotę, wskutek swoich zaręczyn. Jeszcze było ciemno na dworze, więc odkręcił guzik światła elektrycznego i stanawszy w progu, spostrzegł odrazu nieład i spustoszenie. Tu porozrzucone kawałki blachy wycięte z kasy, tu papiery pomięte, jakieś złamane długie, pusta flaszka z wódki. Wyjął klucze od kasy, otworzył ją i zaczął się w niej rozparywać.

Spostrzegł brak gotówki, ale to nie zamąciło jego spokoju, dopiero, gdy się przekonał, że niema szkatułki, nagle pozieleń. Przez chwilę stał nie jak przerażony, ale jakby porażony, zgrzytnął zębami, zacisnął pięści, a potem na nowo zaczął szukać z gorączkowym pośpiechem. Szkatułki nie było. Snovard, jakby z nóg zwalony, rzucił się we fotel koło biurka i skupiał siły, aby się opanować.

Wszedł służący i głosem drżącym, z przerażeniem największym, oznajmił, że mur pod kręconymi schodami wyłamany.

— Nie szkodzi — odpowiedział Snovard chłodno, odzyskawszy krew zimną i panowanie nad sobą.

— Ale i tu się włamali, możeby dać znać na policję?

— Nie potrzeba. Z kasy wzięli nie wiele, ot, kilka tysięcy tylko. Gdyby się wezwało policję,

powstałby zaraz rozgłos w całym mieście, a to dla banku szkodliwe.

Służący słuchał i nie rozumiał. Pomieścić mu się w głowie nie mogło, żeby taką rzecz puszczać bezkarnie, ale były kapral gwardii króla pruskiego, do posłuszeństwa przywykły, odezwać się nie śmiał.

— Czy nie spostrzegłeś jakich podejrzanych ludzi w sobotę?

— Ten włóczęga, co się przedstawił jako kapitan Murle, kręcił się przez kilka dni koło domu, a nawet raz dojrzałem go w dziedzińcu. Myślałem, że się znowu chce wkręcić na audyencyę.

— A, tak, no...

— Możeby go kazać szukać i aresztować?

— Nie potrzeba; już raz powiedziałem. To głupstwo, bagatela, a gdyby się rzecz rozgłosiła, bankowi szkodziłoby to bardzo. Rozumiesz? Każesz mur naprawić jakiemuś mularzowi z dalekiego przedmieścia, prostemu człowiekowi, aby po mieście nie rozgadywał. Nawet urzędnikom w banku nie wspomnisz o tem ani słowa. Rozumiesz? Jeżeli od-



Ślusarz obnażył ramię żylaste i wsunął rękę w głąb kasy....

będzie się wszystko w tajemnicy, otrzymasz sowiłą nagrodę. Kasę zasłonisz parawanikiem, zanim nowej nie kupię. A teraz pozamiatać tu, posprzątać starannie.

Wyszedł Snovard do przyległego pokoju i chodził po nim zamyślony.

— Ta przeklęta szkatułka! — szeptał do siebie. Jeżeli przeczyta... jeżeli ten pugilares... Ale za głupi na to. Papiery wyrzuci, a tamto sprzeda jakiemu urwiszowi. Ale... jeżeli...

Potał ręką czoło, zamyślił się, ale po chwili znowu się opanował, uspokoił i wrócił do gabinetu zimny, jak zwykle, jakby się nic nie stało.

## X.

— Panie doktorze! ciekawa nowina — zawołał August, wpadając do pokoju Schwerdtnera — moja siostra zaręczona.

Schwerdtner, zajęty czytaniem, odłożył prędko książkę i zerwał się z miejsca.

— Jak to pana doktora zaciekawiło — szeptał August.

— Panna Elwira... zaręczona... — jękał Schwerdtner.

— Tak, tak i to z jakimś Amerykaninem, bardzo bogatym. Nazywa się podobno Snovard.

— Snovard! — krzyknął doktor i zbladł, nogi mu się zachwiały.

— Co panu się stało? czemu pan się tak prze-raził? Może to jaki zły człowiek, nie godzien mojej siostry?

Schwerdtner milczał, bo nie słyszał w tej chwili nic i nie przed sobą, nie widział. Chwiał się na nogach, szumiało mu w głowie, krew mu ścinała się w żyłach.

August spoglądał na niego zatrwożony, zdumiały, bezradny.

— Może pan chory, panie doktorze? Panu coś się stało. Proszę mi powiedzieć; posłę po lekarza...

— Nie, nie, moje dziecko — odpowiedział doktor głosem cichym, złamanym. Nic, to przejdzie; ot tak tylko osłabienie chwilowe. Siądź do stolika, pisz zadanie, ja przejrzę je potem.

August spojrział niedowierzająco na doktora, ale posłuszny zabrał się do pracy, chociaż z wielkim roztargnieniem. Schwerdtner postąpił ku oknu, wpatrywał się w ponury kłęb chmur jesiennych i dusza jego ulatywała w dalekie przestrzenie, szukając światów innych, niż ten, na którym sprzedają ludzie serce za miliony, na którym jest handel dusz, poniewierka godności człowieczej dla marnego blichtru.

„Sprzedała się, lub sprzedano ją“ — marzył Schwerdtner. „Taka uroczą, taka duchem wyższą ponad tłum salonowej gawiedzi! Sprzedała się! Ona, ona, co wyglądała na istotę z sercem i z duszą! I komu? Temu, temu zasuszonemu zjadaczowi chleba, tej mumii o zastygłym sercu“. Sam niewiedział do tej chwili, że Elwira tak bardzo już kochała.

\* \* \*

W tydzień potem wyjechał baron Ellerich z córką na południe do Włoch. Lekarz doradzał ten wyjazd już dawno, aby nerwy Elwiry uspokoiły się, wzmocniły, ale baron odkładał, brak mu było czasu, aż teraz wreszcie do wyjazdu się skłonił. A był mu ten wyjazd bardzo na rękę. Wieść o zaręczynach Elwiry rozbiegła się prędko w towarzystwie berlińskim, więc milej było ujść teraz przed fałszywymi gratulacjami, przed pokątnymi uwagami, przed gorączką zainteresowania się tą sprawą w salonach stolicy. Niech minie gorączka nowości, niech się ludzie oswoją z wiadomością, niech inne jakie wydarzenia towarzyskie zatrą jaskrawość tych zaręczyn, a wtedy łatwiej już znieść wszystko, czy przyjąć. Ale był też inny jeszcze powód, który barona do wyjazdu znaglił. Snovard zajął się uporządkowaniem jego spraw finansowych, ugoda z wierzycielami i domagał się stanowczo, żeby baron wyjechał, bo pod jego nieobecność łatwiej mu będzie ugodzić się, porozumieć z falangą wierzycieli.

Jakoż po mistrzowsku wywiązał się z zadania genialny Snovard. Rzucił krocie na stół do podziału, a widok gotówki działał magicznie na rzęsę wierzycieli; godzili się na ustępstwa, brali bodaj połowę, byle coś wziąć, bo lęk ogarniał, że może Snovard się cofnie. Przed potentatem milionów uginali się i dla tego, by sobie względy jego zaskarbić, a może i pomoc wyjednać.

W pałacu barona cicho było, pusto, posepnie. Gwido nie pokazywał się wcale i z całą swobodą używał kawalerskiego życia, do pałacu nie zachodząc. August uczył się pilnie, Schwerdtner pracował nad rozprawą naukową, która miała mu zjednać katedrę profesorską w uniwersytecie. Ci dwaj tylko ożywiają pałac, a raczej wypełniali go po części. Tak minęły ciche, samotne, nawet ponure święta Bożego Narodzenia.

(Ciąg dalszy nastąpi)